



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

GRZECHY WYCHOWAWCZE.

STUDYA Z NATURY

przez

Janinę S. Aleksotę.

Gdyśmy już wymienili tych 7 głównych z pedagogii grzechów, wypada je wszystkie szczegółowo znać, a to w tym celu ażeby ich radykalnie unikać w praktyce. Przyjaciela znać jest dobrze i przyjemnie ale znać nieprzyjaciela, to obowiązek! — powiedział pewien mądry człowiek. — A właśnie owe wyliczone poprzednio grzechy są nieprzyjaciółmi wszelkiego działania pedagogicznego w kierunku dodatnim. O trzech tych grzechach była już mowa, a mianowicie o: 1. Rozbieżności słów i czynów, czyli niekonsekwencji. 2. O niepohamowanym gadulstwie. 3. O niedbalstwie i opieszałości. Teraz pozostają cztery dalsze do omówienia. Są to następujące grzechy: 1. „Bezwzględna surowość i szkodliwa pobłażliwość.“ 2. „Przesyt i głód wychowawczy.“ 3. „Brak ekonomii wychowawczej.“ 4. „Kucie wychowanków na kowadle teorii pedagogicznych.“ Po krótko scharakteryzujemy tu wszystkie. Zacniemy od „bezwzględnej surowości i szkodliwej pobłażliwości.“ Jak już sama nazwa wskazuje, grzech ten z dwóch części jest złożony. Tak pierwsza jak druga część cnotą być może, jeśli im odejmiemy stojące przy nich określenia: „bezwzględna“ „szkodliwa.“ — postawmy w ich miejsce określenia konsekwentna (surowość) i wyrozumiała (pobłażliwość) — a będziemy mieć nie grzechy lecz cnoty, każdemu wychowaniu nieodzowne. Sziller w swojej „pieśni o dzwonie“ — był wychowawcą między-

narodowym, bo jego słowa do wychowania całego świata dadzą się zastosować: „Wo das Strenge mit dem Zartem, wo Starkes sich und Mildes paarten, Da gibt es einen guten Klang.“ Gdzie surowe z czułym, a silne z łagodnym się łączy, tam tylko tworzy się harmonia tonów. Wypowiedział on w swym słynnym utworze myśl zasadniczą wszelkiej konsekwencji pedagogicznej. Słowa jego powtarzane będą zawsze i oby też zawsze stosowane były. Prawda, że powaga wychowawcy wymaga, by o nim mówiono, jak niegdyś Kraszewski o Chrobrym napisał: „Słowo u niego czynem było“ ale to jeszcze nie jest postawieniem teorii bezwzględnej surowości. Ta ostatnia bowiem wywołuje u dzieci przestraszenie, obawę nieustanną, skrytość, obłudę i skłonność do kłamstwa a przynajmniej uciekanie się do kłamstwa, jako do jedynej przystani ocalenia przed surową karą. Zbyttnia, apatyczna jakaś pobłażliwość nie mniej jest szkodliwą. Wyradza ona znowu biegun drugi tamtej nieśmiałości i skrytości: samowolę i czelność. Nicolay w swem dziele: „Dzieci źle wychowane“ — powiada: Bezmiar swobody natychmiast wywołuje niewolę i w rzeczy samej to puszczanie wodzów dziecięcym zachciankom i niewyrobionej woli wywołują niewolę, w którą wobec wychowawcy popadają sami wychowawcy — i niewolę, w którą wpadają dzieci, nie mając już zdolności panowania w żadnym wypadku nad sobą. Dalej twierdzi F. Nicolay że „tylko prawdziwa siła odważa się być pobłażliwą.“ I prawdą to jest niezbitą pod względem moralnym i fizycznym. Lew, król siły fizycznej ma w swem usposobieniu pobłażliwość; a człowiek im doskonalszy moralnie, tem szlachetniejszy jest i tem pobłażliwszy. Gdzie jest odwaga, gdzie szlachetność, tam i pobłażliwość a, że znowu się powołamy na tego samego myśliciela, Nicolaya, — niema ludzi bezwzględniejszych nad bojaźliwych, skoro raz przypadkiem powzięli jakies

postanowienie. Zachwyceni tem, że raz nareszcie odważyli się powiedzieć „tak“ lub „nie“, trzymają się już tego aż do uporu.“ — Ileż to razy stwierdzenie tego zdania spotykamy w życiu a zwłaszcza w pedagogii — jeśli wpływ wychowawczy pochodzi od człowieka, wad pełnego a zatem moralnej siły nie przedstawiającego. Jaka tam surowość, jaki absolutyzm, jaka niewyrozumiałość a częstokroć i jaka nieludzkość! Biedne te dzieci, nieskończenie pożałowania godne, które się dostały pod wpływ takich lub im podobnych ludzi. W obrębie tego wpływu i władzy wychowawczej rozgrywiają się prawdziwe dramata dziecięce i rosną niedole. Niezrozumiana zaś pobłażliwość, która nigdy woli ani ręki nie ściąga ku karzeniu przekroczeń dziecięcych buduje gmach klęsk i dla przyszłości wychowanka i sobie samemu troski oplakane wytwarza.

Trzy następne grzechy wychowawcze ustylizowaliśmy źle, przyznajemy to sami, ponieważ logicznie biorąc, znaczą jedno i to samo. Niech nam łaskawe czytelniczki i czytelnicy wybaczą — a my zaraz wytłumaczmy się z popełnionego tutaj błędu. Co one znaczą przedewszystkiem. Pod „przesytem“ i „głodem“ pedagogicznym rozumiemy dwie wprost sobie przeciwne okoliczności: albo kogoś zanadto wychowują albo zupełnie nie. Czy można „zanadto“ kogoś wychować? spytają nas pewno skwapliwie czytelnicy. I tak, i nie. Nigdy nie może być za wiele troski o dobro wychowanka, nigdy zanadto uwagi — ale będzie tego wszystkiego zanadto, gdy wychowanek obarczony będzie miał krok każdy tą troską, myśl niemal każdą skrepowaną; odejmiemy mu taką metodą całą samodzielność, stworzymy zeń manekina, bałwana bezdusznego, istotę bez myśli i inicjatywy; utniemy bowiem głowę całemu życiu wewnętrznemu, gdyż działamy i myślimy w takim wypadku sami, przywołując wychowanka do

najzupelniejszej bezwładności duchowej i bierności. Tak wygląda „przesyt.“ A jak „głód“ wychowawczy? Na to czytelnicy łaskawi nie otrzymacie odpowiedzi. Chcecie zaś ciekawość swoją zaspokoić, to proszę, idźcie do zaułków, gdzie mieszka nędza, która wprawdzie daje światu istoty z jakąś iskierką życia w pierśiach, ale się o przyszłość tej „iskierki“ nie troszczy zupełnie. A nie chcecie patrzeć na tych nędzarzy duchowych, wznoszących pod względem moralnym jak drzewa puszczy dziewczęcej, nietkniętych dłonią uszlachetniającej, wieczny głód wychowawczy cierpiących, to zajrzyjcie do niektórych zamożnych domów, gdzie istnieją wprawdzie dzieci ale nikt się o nie tak bardzo nie troszczy; dzieci te wprawdzie mają matki, ale o tem z doświadczenia nie wiedzą i nie czują tego. Pośród niedoli wieku dziecięcego, bywają i takie opuszczenia.

Brak ekonomii wychowawczej znaczący zapewne to samo, ale jest w nim pewien ważny odcień inny, i dla tego traktujemy go jako osobny grzech. Polega on przede wszystkim na kapryśności i ułomności natury ludzkiej wychowawcy, którą wedle upodobania albo szafuje opieką, dobrocią, troską, zajmowaniem się dziećmi, albo znowu po pewnym czasie popada w apatyę i na dziecko uwagi nie zwraca. Wyraża to u dzieci niejednostajność usposobienia, skłonność do pesymizmów, żalów i podejrzliwości. Nierówność, niejednolitość duchowego ustroju, która w życiu dalszem nieprzyjemne a częstokroć szkodliwe wywołuje niespodzianki, źródło swe ma właśnie w takiej nieekonomii. Czuwanie nad dziećmi niechaj istnieje wciąż, ciche, spokojne, jednostajne, baczne, rozumne, bez podlegania własnym kaprysom, a wreszcie nie rzucające się w oczy wychowanka. Opieka niech będzie, bo ona jądro wychowania stanowi, ale mądrość cała pedagogiczna w tem leży, by ta opieka w obec wychowanka miała swój „tajny gabinet“, w którym by się przygotowywały wszystkie deklaracje i noty dyplomatyki wychowawczej, tak, ażeby dziecku wydawało się, iż postępuje zupełnie według własnej woli właśnie wtedy, kiedy najbardziej i najbliższej niego jest ta tajemna opieka i kiedy najmocniej podlegle jest woli wychowawców.

Pamiętajmy i o tem, że kapryśny brak ekonomii pedagogicznej wywołuje groźne w świecie moralnym następstwa, już choćby dla tego, że jeśli my sami sobą rządzić nie potrafimy, to musimy raz na zawsze skwitować z wszelkiej nad wychowankiem władzy, — a jeśli w dodatku siłą przykładu czy sugestyi, a choćby i dziedzińczności (jeśli kto z czytelników tej teorii jest zwolennikiem), dziecko także należeć będzie do kategorii tych, co rządzić sobą nie umieją, to przewodzić mu będzie wszystko w życiu i wszyscy, którzy tego zechcą. Trzecią będzie wiotką, którą każdy wiatr przechyli ku takiej stronie, w jaką sam wieje. Strzeżcie się niejednostajnością usposobienia własnego i nierównością oddziaływania pedagogicznego wyrobić taką trzecią społeczną, idącą za wszystkimi prądami bez przewodztwa zdrowego rozsądku.

Pozostaje do omówienia ostatni grzech pedagogiczny. Tytuł, jaki mu nadaliśmy, mówi o rzeczy samej i wskazuje, że chybiom jest działanie wychowawcze tam, gdzie ktoś z góry wybrana teorią przystępuje do pracy wychowawczej i z pominięciem uzdolnień i skłonności, czyli indywidualizmu dziecięcia, chce na kowadło swej *a priori* postawionej teorii ukuć jego umysłowość i charakter. Byłoby to znowu manekiniowanie, ogłupianie, wypaczenie. Teoria nie może być postanowioną z góry i bezwzględnie, ona musi wypływać z życia, z indywidualności i z całego zbioru przeróżnych warunków, pośród których odbywa się wzrost danego osobnika.

Uparte trzymanie się teorii, częstokroć najfałszywszej w założeniu, bo nie dającej się zastosować do pewnego typu, wywołuje szkodę, zamiast zamierzonego pożytku.

Każdemu się co prawda zdaje, że najlepszą wybiera teorię, a jednak mielibyśmy to za niedorzeczność, gdyby ojciec lub matka sprawili naprzód buciki i ubranie dla dziecka nowonaroz-

dzzonego—w tym celu, ażeby je za kilka lub kilkanaście lat nosić miało. Na taki fakt każdy rozsądny człowiek wruszyłby ramionami i powiedział, że przecież niepodobna przeczuć, czy się to dane ubranie da kiedy do danej figury zastosować. A któż zaręczyci, że wybrana i postanowiona teoria da się zastosować do danego osobnika. Nie może sobie tedy wychowawca powiedzieć z góry: Ja mego X będę wychowywał surowo i ostro, bo właśnie ten X. może być naturą wrażliwą, ambitną i podatną, którą surowość zmiażdżyłaby i wypaczyła. Albo powie sobie ktoś: mój Y. musi być karnością śmiałym i znakomitym, więc będę go wcześniej nakłaniał, by ludzi chwycił za słowo i rozwijał je i zbijał ile się da, bo właśnie Y. może być naturą w sobie zamkniętą, cichą, nieśmiałą. Młot zatem, któryby chciał go przekuć na kowadło teorii wychowawcy, zmiażdży go tylko i rozbije.

Niechaj to nasze szczegółowe rozbieranie grzechów pedagogicznych i ich odcieni czytelnika nie zraża. Pozwoliliśmy sobie na taką drobiazgową analizę, pomni na słowa myśliciela, że „wychowanie tworzy wielkość narodów i świetność ich utrzymuje; wychowanie zapobiega ich upadkowi, a upadłych dźwiga z upadku. Wychowanie jest to dalszy ciąg działania boskiego, w najdonioślejszym tego działania zakresie, w zakresie stwarzania dusz.“

Tak mówi biskup Orleański ks. Feliks Dupanloup w dziele swem „De l'éducation“ — i zdanie to nigdy przestarzałem nie będzie. Obyśmy mieli je zawsze przed oczyma duszy, gdy obserwujemy młodzież naszą, która jest wyrazem przyszłości dla nas.



Kobieta w poezjach Lenartowicza.

(Szkic etyczno-literacki).

(Dokończenie).

Przejdźmy teraz do poemaciku, który nam kreśli miłość, oraz pożycie domowe tej samej Wiochny, przechrzczonej tylko na Jagodę. Poraz pierwszy ujrzał swoją ukochaną jej przyszły, gdy

„Raz z wiaderkiem wyszła z sioła,
„Jak poranek śliczna, młoda,
„Nazywała się *Jagoda*.“

Sierota bez ojca i matki, którzy ją odumarli wcześniej, bez brata, co ją odszedł i zginął gdzieś w świecie bez wieści, Jagoda „pomagała komornicy u doju, kołowrotka.“ Gorką dolę sierocą znosi z cierpliwością i słodyczą; za swoją komornicę „trzy dni w polu piele, czeka na nią po kościele...“ Jest pokorna, cicha, zgadzająca się z losem: — „i nie tęskni, nie wspomina, że nikogo swego nie ma.“ Nie ogląda się po za siebie w przeszłość, „bo się żalować serca czepi... czasem z kwiatu się wywinie, czasem z pieśni, gnaną gdzieś w dali, z dżdżów jesiennych po nad lasem, i z ludzkiego szczęścia czasem.“ Lecz od miłości któż się skryje? — mówi poeta — „tak też to, jak od przypadku... coś ci w oczach się powije, jak, co, kiedy? — ani wiadku...“ W tych wierszach wybornie charakteryzuje poeta pogląd ludu na przyczyny, wywołujące miłość, która nie wiezieć jak i z kąd się do serca wkłada. Takich traf czy konieczność spotyka i Jagodę. Oto jak maluje tę chwilę poeta słowami jej lubego: „powitała, popatrzała, po biednemu przyodziana, i tak mi się wydawała, jakby nigdy niewidziana; śliczna ona zawždy była, ale *nigdy taka miła*“ — dodaje rozkochany chłopiec i w następnym sposobie wyraża swój zachwyt: „szczęsny kto na pędzlu zna się, malowałbym ciebie, ptaszku, złotym pędzlem na atlasie i na samym adamaszku...“ A cóż ona? —

„I tak dziewczę to nieśmiało
„I patrzyła, nie patrzyła,
„Aż od źródła jakąś nutkę
„Jak zaciągnie w głuchą ciszę...“

Któż nie wie, jaki czar i władzę jaką nad młodemi duszami ma pieśń dziewczęca, tem bardziej, gdy z ust wypływa najdroższych... Więc „choć tego bardzo było krótko,“ mówi chłopiec, jednak „coś tak przez nią zanuciło, coś takiego było w śpiewie, jakby człeka już nie było, albo jakby gdzieś — sam nie wie...“ Wrażenie wzrokowe zachwycające, jakiego doznał chłopiec na widok ukochanej, spotęgowało się wrażeniem usłyszanej melodyi — i z tych dwu pierwiastków psychicznych zrodziło się w gorącej piersi młodzieńczej żywe i głębokie uczucie. Piosenka może głębszą poruszyła strunę w jego duszy, lecz wrażenie wzrokowe było wyraźniejsze i trwałe, mówi bowiem rozkochany chłopiec: „Jakby *słownie*, moja *miła* na mych *oczach się odbiła*...“ Gdzie się zwróci, gdziekolwiek spojrzy — wszędzie widzi przed sobą obraz ukochanej dziewczyny, czy chce, czy nie chce, wszędzie przed oczyma „złote kółka latające.“ I snuła się ta cicha, prosta, sielankowa miłość dwóch serc poczciwych i młodych, nie wyznana jeszcze i nie określona w słowach, głęboka jednak i wzajemna; chłopiec wiedział, „że się biorą i że z sobą żyją potem,“ — więc raz dłużej spojrzal poniej, — a ta: „ty mnie nie chcesz pono...“ i tak zapłonęła się ślicznie — „szyjka, uszko na czerwono.“ Tak jednak „coś mówiło przez nią skromnie, to co łączy i co grodzi,“ że on nie śmiał zbliżyć się do niej i przechodziło mu nieraz na myśl pytanie: „czy się tego dotknąć godzi?...“

A ona była taka biedna i uboga!... Jedną miała sukienkę na sobie i koszulkę pono jedną... Ale cóż to szkodzi? — myślał sobie chłopiec: „zechce mieć trzewiczki złote, to ja pójdę na robotę.“ Raz, gdy był wieczór, a mgła „podkłężyca“ opadła na sioło, gdy drzemały lasy, pachnęły kwiaty i zioła, a serce biegło do serca, — ona „przyszła jakby przeciąg świeży“ właśnie w chwili, kiedy on myślał o niej; „przybliżyła się i parzy... i tak śliczną główkę chyli.“ Gdy on — pewny — czy ją widzi, — czy widzenie senne, prosi, by przemówiła, „miast przemowy uśmiech przeszedł ją najszczerzy,“ który tak go pociągnął ku niej, że wyciągnąwszy dwoje ramiou, padł w jej ramiona, a ona w jego. Jedną krótką chwilę trwały te uściski „biednej z biednym...“ Drżąca i spłakana odchyliła go od siebie, szepcząc: „mój jedyny, bój się Bogala...“ a gdy on uspakajał ją i prosił tylko o wierność i stałość, „więc znowu dziewczę pokazało śliczne zębki perłorządne i pochyla się z całunkiem...“ Chwila ta czaru i upojenia pozostawiła niezatarte w jego duszy wspomnienie:

„Noc tak cicha śni się czasem;
„Miesiąc w pełni, dym nad lasem; —
„Tylko ptaszek mojej pieśni,
„Ona nigdy mi się nie śni...“

A gdy uzał się na to przed nią, odpowiedziała mu: „jestem w tobie, więc nie mogę być przed tobą. Puść mię z duszy w moją drogę i z pamięci, co mię trzyma, to ci stanę przed oczyma.“ Lecz puścić ją z duszy i z pamięci on nie chciał, ani mógł choćby na chwilę nawet.

I znowu stali raz oboje po za wioską, zapatrzeni nawzajem w oczy sobie, stali „niby w miejscu gdzieś wybranem na chałupę, na ubogą...“ Był piękny poranek, łąka „buchwała sianem,“ woń świeża wiała z drzew zielonych wianka... On pokazuje jej ptaszka drobne, jak ścielą sobie gniazdko z piórek i słomki, jak wszędzie żyją i pracują w parze... Na wysokim błękitnie świeci nad niemi słońce, niby jasne oko Boże, które patrzy na biedne Jego dzieci. „To i na nas — kończy chłopiec — gdy ja biedny, a ty mała, Bóg patrzy...“ Ale ona „oczki zadumała i rączki opuszcła“ — pragnęłaby i ona chatki własnej, najuboższej choćby, ale ona taka biedna!... „Cóż ja mogę, co ja zrobię? Całym skarbem biednej Jagni tylko serce, tylko ręce, — ręce, serce ci poświęcę, ale więcej już nie pragnij.“ Lecz jej mi-

ły odpowiada: „Widzisz—jak ta ciągnie droga? Słyszysz—jak te ciągną pieśni? Tak i my podążym w życie, a na miejscu stać nie możemy...” i ukazuje jej miejsce w polu, na którym nazajutrz rano głąz poloży na chatę, rozpowiada, jak stać będą sciany, a jak pójdzie gościniec pod chatę, i gdzie pobiegnie ścieżynka, po której swój dobytek Jagnia będzie przepędzała. Na te słowa ona „spłoneła, jak poranek,—i już nie miłości szaleł, ale niebem duszy całej zawołała: mój kochanek!” Ślicznie i skromnie chwyciła się jego sukmany i oplótła się w koło niego „jako powój kołem żyta.” Chłopiec pyta ją: „kochasz—powiedz?” Lecz ona nie odpowiada, tylko po usteczkach uśmiech goni,—„za odpowiedź serce dzwoni: nie ma słowa w ludzkiej mowie.” Pyta więc ją, czy zadowolona z przyszłej chatki—czy rada?... A ona mówi: „Rada, rada...”

„I od śmiechu się zanieśie
„Od radości, że i onej
„Bóg na ziemi dał mieszkancko,
„Swoje strony, gaj zielony,
„Słoneczniki dwa pod ścianką,
„Strumień, co się zdaje śnieniem,
„Tak srebrzyście w świat się wije.

Byle tylko przyszłość nie pokryła cieniem tych piękności, byle się nie pochmurzyło to jasne dziś szczęście... Myśl ta sprowadza zamyślenie na Jagodę, która wzdycha po cichutku: wszak „na radości czycha smutek, jako jastrząb na przepiórki.”

W następnym obrazku widzimy Jagnię już we własnej, niedawno zbudowanej chacie, już jako matkę ślicznego dzieciątka. Jagnia sypiać lubi, a tu noc letnia krótka, i oto już kogutek niegodziwy na dzień ije nad chatą, jak gdyby śpiewał: „wstawaj, Jagniu, do kądziele.” Więc przyodziewa się Jagoda, a w kominie wśród popiołu tleje iskra wczorajszego ogniska; nie na popiół to jednak rzuca pierwsze wzroki Jagnia, lecz na cichą kołyskę, która przy łóżku stoi. Schyli się nad kołyską—„i piersi poda.” Uboga wprawdzie i niska ich chatka, „jaki człowiek bowiem, taka też zagroda,” lecz panuje w chałupie zgoda święta i miłość, — „codzień ojciec matkę ścisła,” a dziecina—piękna jak aniołek, żywa i wesoła, wybija się z pod pieluszek i swawoli. Kochająca Jagnia garnie się mężowi do łona, a „nie zgorszy się na przezroczu złota gwiazdka roztoczona.” Najczulszą i najtroskliwszą jest matka Jagoda: „o dziecko wciąż się troska, gdyby anioł—strzeże włoska od kołyski. powijaka... czuwa, nosi, pielęgnuje, całunkami kwiat miłości Panu Bogu wycaluje i wychucha i wyprości...” Wszystkie wolne od pracy chwile dnia spędza nad kołyską, na zabawach i pieśniczotach ze swem ukochanem dzieciątkiem:

„Przycisnęła, pochwyliła,
„Mało dziecka nie zagniecie,
„Zna swą siłę swoją siłą,
„Chichoce się małe dziecię;
„Pełna śmiechu kmieca chata,
„Kmieca chata nie bogata.

Raz — w wieczór słotny, gdy od rana padał deszcz tak ulewny, że nie było dojrzeć wioski, siedziała Jagnia w chacie przy swym mężu i tak doń mówi: „Jak to własna chata błoga;—od poranku w polu pada, a my siedzimy, jak u Boga...” Nawet krówka i owca — wie, dokąd może się schować przed burzą i słotą, a nieraz pielgrzym zbłąkany ciągnie na światło, co świeci z ich chaty. Przerwał jej mowę mąż, zlekniiony, by „nie zbudziła złego, które drzemie...” Szczęście tak krótko trwa na świecie, a „ani chata, ni zameżczenie obroni od przygody.” Na myśl, że może przyjść wpróg ich cichej chaty nieszczęście, Jagoda „roześmiała się nad głowy, jak majowy świt różowy” i tak mówi do męża: „Na nieszczęście nie pozwól, mój Jasieńku, mój sokole, mam ja taki sekret w słowie, że jak zechcę, to zamówię.” Sekretym tym przeciw nieszczęściu jest wiara w przyszłość, czyste sumienie, miłość i chęć szczerą do pracy... Jednak i jej zrobiło się nagle czegoś tęskno i smutno na sercu—przypadła

do jego piersi „i cała się rozplakała...” A gdy on przygarnął ją ku sobie i zapatrzył się oczyma—to już myślał, „że nas nie ma, jak mi miły Bóg na niebie.” Przepysnie oddaje tu poeta tę dziwną, mistyczną jakąś cechę charakteru ludowego, która jednak zabobnem nie jest, gdy serce proste w rzadkich chwilach wielkiej ciszy dosłuchuje się echem złowieszczych na świecie i ścisła się przeczuciem nieokreślonym nieszczęścia... Tak i tu mąż Jagody, będąc pod tem wrażeniem przeczuci niespokojnych, pyta: „Chałupczko moja niska, czy już cień na ciebie pada?...” a poeta tak maluje tę chwilę ciszy pełnej tajemnic:

„Cisza wieśna, moje grędy,
„Moje wszystko oniemiało,
„To i może tak się zdało,
„Ze przeleciał Anioł tędy,
„Posiewając ciszą, makiem,
„Cichym dworem, jasnym szlakiem,
„A na sercu, na ogródku,
„Jak po burzy, jak po smutku”

Lecz chwila przeczuci minęła i znowu potoczyły się im dni w szczęściu, ciszy i spokoju, pod widomem błogosławieństwem Bożem. Szczęśliwie szczęściło się we wszystkim Jagience, która „miała szczęsną rękę.” Pod jej dozorem gospodarstwo domowe idzie jak najlepiej: „czego dotknie, co zamierzy, wszystko jej się ślicznie składa; innym w dzieży chleb opada, a tej zaś ucieka z dzieży... Znajdzie, czego nie poszuka,—jajko przejrzy, nigdy dzbuka,” gąski siedzą po trzy i cztery, tu znów kury, owdzie indyczki. Pięknie wschodzą kwiatki, zasiane jej ręką w ogródku i rozkwitają pod okienkiem. Zapełnione, waży tu coś szczęście, istotną jednak przyczyną tego powodzenia i pomyślności jest bezwzględność zapobiegliwość, obojętność do pracy i skrzętność młodej gospośki. Sama we wszystko wgląda, samą o wszystkim pamięta; gdy wieczorem stanie w progu z sitem, zbiega się wnet do niej zewsząd i zlatuje cały świat pierzasty, który ona karmi; a w noc miesięczną bielą się na błoniu płótna, które ona uprzedła z konopianej przędzy białej. W ich ogrodzie, co jest za chatą, pszczoły biorą miód na plasty z melisy i lewendy, — „i żadne jej nie zaszkodzi, kiedy wśród pszczołek chodzi, — jakby znały swoje swoją, pszczoły onej się nie boją. I ona się bać nie będzie, choć na rękę jej usiądzie.” Podaje pszczołkom miodu na dłoni, a one piją jakby „listka rozwiniętego świeżo głogu.” Gdy co na siebie nawdzięje, wszystko na niej takie świeże, „aż chłód wieje, jak od rosy i od śniegu, i od pola i pogody, jakby przyszła po noclegu z jaskółczą na dnę wody;” lica ma świeże i chłodne, jak u dziecka. Tak nam maluje poeta pełne prostoty, lecz tętnące dziwnym jakimś wdziękiem życie domowe Jagody. Dni wypelnia jej cicha, lecz użyteczna w zakresie gospodarstwa chatnego praca. Jagoda jest jednak młodą i żywą; serce aż skacze z jej piersi do wesela. Z początku więc „na hulanie chętkę miała,” — lecz gdy mąż rzekł jej, że nie chce, żeby się do drugich śmiała, Jagnia nie kaprysowała, nie dała się, lecz „ślicznie, zgodnie powiedziała: no, to zgoda...” Miłość prawdziwa męża i dziecka zastąpiła jej najweselsze hulanki. Za to wszelką muzykę lubiła nadzwyczaj; czy to kobza zagra, czy duda—Jagoda „zatem jeno się zaslucha; — jeśli grają na żalosań, to jej piersi rosna, rosna... jak wesoło, w śmiech wybucha.” Wyglądała tak świeżo i uroczo, że „gdy kto obcy zajdzie doma, to ją dziewczką zwie matczyną, a ta jeno się zasroma i naśmieje — tyle ino, i wytknie im, kto rad do ciebie, mazureczka, jak i ociec.” I z książki czytać była nauczona, „jak nikt w świecie drugi.” I im dłużej żyli ze sobą szczęśliwi małżonkowie, tem on więcej uczył się ją cenić i kochał coraz goręcej:

„Bo mnie Jagnia moja mała
„Coraz więcej serce brała,
„A to wszystko tem czemś, owem,
„Co nie wydać tego słowem...
„Za przesliczną na niewiaście;
„Więc mnie nieraz tchnęło strachem:
„Ze był anioł pod mym dachem.”

Ale „przechylała się już wazka tego szczęścia i dostatku...” W jedną niedzielę wybrali się oboje młodzi do kościółka w wiosce sąsiedniej; ona, przyodziana odświętnie, niosła swoje chłopię, którego matka nigdzie nie zostawi—„czy pracuje, czy się bawi.” Szli drogą „opadaną po świeżości” przez las i przez pola; świat cały dokoła wyglądał „jak niedziela;” tak jasno świeciło złote słońko, tak było w powietrzu cicho i radośnie, że on westchnął: „dobrze człeku, że się rodzi, bo zobaczy, aby słońce...” a Jagoda odpowiada mu na to: „Jużci, słońce to rzecz błoga, a szczęśliwszy kto umiera, bo zobaczy Pana Boga.” Te słowa jakoś niemile go tchnęły, i chociaż czuł, że „łajac nie ma za co,” przykro mu się zrobiło niewymownie... „Życie ludzkie — różne nuty.” Charakterystycznym niezmiernie jest ustęp powyższy, chociaż fakt sam drobny napozór: maluje on bowiem z jednej strony podniosłą cechę charakteru Jagody, jej pogląd uduchowiony na świat i życie, z drugiej zaś strony zaznacza trafne spostrzeżenie poety, że nawet prosty wieśniak, jakim był mąż Jagni, nie jest nieczuły na głosy wewnętrznych przeczuci i szeptów tajemnych. Przy słowach o śmierci, jakie wyrzekła Jagnia, pomyślał: „Nuż wymówi w złą godzinę, a odumrze—to ja zginę...” On kocha ją głęboko, nad życie i mówi do niej: „Nie mów ty mnie nie o niebie, śmierci ja tem się nie trwożę, ale strasznie kocham ciebie...” Wiele już przeszedł prób w życiu i wiele wycierpiał, niestraszy go już żadna losu przemiana—

„Alem zląkł się, żeby czasem
„Nie odesła mnie sieroty,
„Jak niebieski dym nad lasem
„Po zagasłej zorzy złotej...”

Po kościele przechodzą obok zebranego ludu, Jagnia wita się z dawnymi swoimi rówieśnicami. Niegdyś to i one wydawały się mu hożemi dziewczętami, ale teraz przy niej „pomalały,” — ona wszystkie przeszła głową, „spoważniała gdyby pani;” urosła jeszcze trochę i dawne jej suknie nie dochodzą do kostek, — a on, zachwycony nią i rozkochany, myśli sobie: „najśliczniejszy—mój wyrostek.” W czasie powrotnej drogi do domu, zaskoczył ich deszcz w polu; przed nimi piętrzyły się chmury, coraz to w dali piorun uderzył, zabłysła wreszcie po nad wsią luna pożaru. Gnani niespokojnym przeczuciem, przyspieszają kroku, zgadzając w trwodze, czyja to chata się pali: może ich, a może Piotra, może Jakóba?... Wchodzą wreszcie do wsi — i stają przed zgłiszczem ich własnej chałupy. Przed tym strasznym widokiem spustoszenia stanął mąż Jagody i załamał w rozpaczy ręce. Przyjaciele stoją z daleka — coś gwarzą... ubogiemu świat ojęzym. Jedna Jagnia przy nim staje, „choć nieboga ledwie kroczy” — i szeptem doń po cichu: „mój sokole, moja gwiazdo!”

„Uśmiechnęła się nieboga,
„Wyciągnęła rączkę tkliwą,
„Taka smutna, a tak błoga,
„Jako gwiazda w noc burzliwą...”

I wnet gdzieś niedoła podziała się i zapomniał nieszczęśliwy, że stoi na gruzach swojej chatki; przy nim stała jego Jagnia z dzieckiem na ręku, drugą ręką ina się jego piersi... „niby jedno — niby troje.” Widok tej miłości wielkiej i współczucia wlewa do jego piersi nową energię, wprowadza go z obezwładnienia, w jakie wtrąciła go rozpacza, pobudza do czynu: on nie założy rąk w beczynności teraz... pójdzie w świat po pracę natechniony i pokrzepiony jej miłością, powróci z groszem i da Bóg — nowa poszyje się chata. A cóż Jagnia? „Przecisnęła się nieboga, łza po twarzy ściekla rzęsna...” nie zatrzymuje go jednak i temi żegna słowami:

„Szczęsna tobie, człeku, droga,
„Ale czy mnie będzie szczęsną?
„Na zatrutem matki mleku
„Ta dziecina się wychowa,—
„Idź za pracą—idź, człowieku...”

Uspokaja go, mówiąc, że tu sama nie zginie, że znajdzie chleb i strzechę, że wszędy dobrych ludzi mnogo... nie dokończyła tylko, że tu dla jej serca nie będzie nikogo na pociechę... Żal głęboki ścisnął mu serce, więc rzekł do niej: „To pójdź ze mną...“ Lecz ona to czuje, że byłaby dlań tylko ciężarem na obczyźnie, odpowiada więc ze łzami: „nie, zostanę...“ i płacząc buchnęła jej łono, i oparła się o ścianę opaloną chaty... Ruszył więc on w świat po zarobek—jako biłgorajski sitarz; Jagoda pozostała w wiosce, nie założyła jednak rąk w niedoli: zaczęła pracować za dwoje, aby nakarmić dziecię i siebie; chodziła na pokłosie. Nawet smutek swój ukrywała przed ludźmi; „we łzach oczy onej stały, a usta się uśmiechały; opędzała się żalobie jeno pracą dniem cichutkim, i nie spytał nikt—co tobie? bo nie spotkał się ze smutkiem.“ Dzielną kobietą, której miłość dodawała sił i wytrwałości, nietylko że nie zginęła z głodu wraz z dzieckiem, lecz odbudowała nawet chatę.

W ostatnim wreszcie obrazku widzimy znowu ich oboje razem, szczęśliwych jak dawniej, w nowoobudowanej chacie. Dla niej znów całym światem—mąż i tych dwoje dzieci, które bawią się na murawie pod okiem troskliwej i kochającej matki.

Umyślnie dłużej zatrzymaliśmy się na tym poemacie, najprzód bowiem jest on mniej znanym naszej szerszej publiczności, powtóre zaś dla tego, że w nim, jak w żadnym innym, występuje nader plastycznie i wszechstronnie typ precudny naszej niewiasty wiejskiej. Nie sposób było jednak, nawet posługując się częstymi cytatami, dać czytelnikom poznać wszystkie piękności niezrównane tego prześlicznego poematu. Na to trzebaby chyba przytaczać wiersz za wierszem, ustęp za ustępem. Mamy jednak nadzieję, że przytoczone urywki zachęcą czytelników do bliższego zapoznania się z tym najpiękniejszym może ze wszystkich poematów Lennartowicza.

W niniejszym szkicu przytoczyliśmy kilka kreacji niewieścich naszego poety, wybierając przytem najcharakterystyczniejsze i najbardziej typowe. Odznaczają się one, jak widzieliśmy, karnacją przedziwnie miękką, subtelną, są pełne wdzięku, prostoty i świeżości: Tyle mamy do zaznaczenia co do artystycznego ich wykończenia ze strony zewnętrznej. Również jednak subtelnym analitykiem duszy niewieściej jest Lennartowicz, jak i wykwinnym malarzem postaci; umie zaglądnąć aż do wnętrza serca dziewiętego, wyczuć najłżejsze szmery uczucia i zobrazować je jak najdokładniej.

Co się tyczy wreszcie skali etycznej charakterów niewieścich, to widzieliśmy, że wszystkie bez wyjątku stoją pod względem moralnym nadzwyczaj wysoko, są przytem pełne takich cnót pierwszorzędnych, jakimi są: religijność, szczerą pobożność, szacunek połączony z miłością względem rodziców, pracowitość, gościnność—i wreszcie mnóstwa owych zalet drobnych napozór, które jednak stanowią nieraz o szczęściu i zgodnem pożyciu domowem. Nie jest to jednak wcale fantastyczne wyidealizowanie ludu, przeciwnie: poeta czerpie z rzeczywistości barwy i rysy do swoich obrazów, tylko że znając lud nasz, jak żaden inny z poetów, zna ukryte nieraz przed wzrokiem obojętnym piękności i wybiera najżywsze kolory i cechy najpiękniejsze, bo kocha gorąco i szczerze to, co maluje.

Stanisław Ostrowski.

Za progiem raj.

CYKL PIOSNEK.

VII.

Modlitwa w Medynie.

Z różanych gajów, w ciche, perskie noce,
Ku tobie wznosi się słowików pienie —

O, Ałlah!

Na polu walki, za sprawę koranu,
Dla ciebie wiernych pierś przejmuję drżenie—
O, Ałlah!

W głębi zarośli sandałowych, tobie,
Feniks się w wonne sam rzuca płomienie —
O, Ałlah!

W twoich zakonów świętem rozmyślanu
Asceta dzikie zamieszkał sklepienie —
O, Ałlah!

Ku tobie dąży w pogodne wieczory
Młodych farysów skrzydlate natchnienie —
O, Ałlah!

Usłysz mnie, błagam, w tym pielgrzymów tłumie,
Mnie, najsmętniejsze ze wszystkich stworzenie—
O, Ałlah!

Wszak ponad wszystkie hymny, wonie, dary,
Najgłębiej ciebie porusza cierpienie —
O, Ałlah!

Bo ponad wszystko na ziemskim padole —
Ból, to najczystsze jest całopalenie —
O, Ałlah!

O, niech tej świętej Medyny wspomnienie
Na dalszą walkę da mi pokrzepienie —
O, Ałlah!

VIII.

Spotkanie z lwem.

Głowa mi rozpałała tak w słonecznym złocie,
Jak gdybym miała zawój nad czołem z pło-
[mienia,

Spoczynku, ach, spoczynku pragnęłam i cienia,
I wolny krok ku dzikiej skierowałam grocie.

Tam, zmęczone gdy zamknę powieki, w cie-
[mności,

Gdy się głowa na chłodnych kamieniach ułoży,
Może wreszcie sen dobry moją duszę zmoży,
I zapomnę o ziemskich rzeczy znikomości...

Staję na progu... Ałlah!! na me powitanie
Lew się podniósł tam, w głębi, i wprost ku
[mnie kroczy,

Złotą potrzasa grzywą... wlepia we mnie oczy...
— Czy mnie przyjmiesz gościnnie, najdumniejszy
[panie?

Czuję, że mi pod jego wzrokiem lica bledną,
Na mych piersiach już czuję krwi chciwe pazury—
Lew się zbliża i mruczy... i staje ponury...

Umrzeć teraz, czy później, wszak to wszystko
[jedno,

Byle umrzeć odważnie. Zbieram siłę duszy,
I całą nieśmiertelną moc ludzkiego wzroku
Topię w utkwionem we mnie lwa zuchwałem
A lew stoi i patrzy, i ani się ruszy... [oku,

Potem wspaniałomyślnie przeszedł tuż koło mnie,
Potężny w swojej dumie, i cichy a złoty...
I na nocleg mi własnej swej odstąpił groty,
I dopiero gdzieś w puszczy już, ryknął ogromnie.

Czy go rozbroił smutek wejrzenia i skrucha,
Czy niezłomna odwaga bezbronnej ofiary?— — —
O, człowieku! ty nie wiesz, jakie to się czary
Kryją w tajemnych wpływach przyrody i ducha!

IX.

Mój Beduinie!

Czarnej się nocy rozwarły podwoje
I z każdą chwilą reszta światła ginie,
Ciemność zaczyna panowanie swoje—
O, jacyż myśmy zmęczeni oboje,
Mój Beduinie!

Usiądźmy trochę na kurhanie z piasku,
Tak już wędrujem długo przez pustynie...
A mnie tak trwożą te noce bez blasku,
Ja się tak boję dzikich kruków wrzasku,
Mój Beduinie!

Dlaczego, powiedz mi, dzisiaj tak ciemno?
Czy księżyc wcale dzisiaj nie wypłynie?
Bo oto oczy wyteżam daremno —
Nie widzę ciebie... Czy ty jesteś ze mną,
Mój Beduinie!

Jesteś. Ja blisko twoją duszę czuję,
Moje uczucie razem z twojem płynie,
Myśl moja razem z twą myślą się snuje,
A z twoim smutkiem mój smutek współczuje
Mój Beduinie...

Teraz w ciemnościach błysły twoje oczy...
Ałlah! z twych oczu ogromna łza płynie!
Ach... więc się nawet i to światło mroczy?
Ta łza mi serce jak gład skalny tłoczy,
Mój Beduinie.

Słuchaj, ta ciemność musi mieć swe końce,
My przeczekamy aż ta noc przemienie;
Pogodne zleca się myśli, obrońce,
A jutro—jasne obleje nas słońce,
Mój Beduinie.

Byleśmy tylko tę chwilę przebyli,
W której się z braku niezłomności ginie,
A prędzej nam się cudny dzień rozchyli
Niżeśmy sami o tem zamarzyli —
Mój Beduinie!

Szczęśna.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

XIX.

Ciotka Morkowiecka w Morkowie.

Dwór Morkowiecki był niegdyś miejscem ożywionem i jaśniał przepychem gustu francuzkiego—dziś zaległ ponury, żalobnym okryty kirem, pod którego czarną powłoką już od lat wielu spoczywał — pomyślałam sobie westchnawszy, zbliżając się do tego siedliska nieszczęśliwej ciotki mojej. Owdowiła w młodym wieku; niepo cieszona po stracie męża, poświęciła się wychowaniu jedynego syna. Tak znalazła zadowolenie w dopełnieniu tego miłego obowiązku, że wszystkie trudności zarządu jej się zdały łatwemi do pokonania. Aby tylko nie podzielać z nikim troskliwości o przeprowadzenie edukacji godnej młodzieńca znakom tego rodu i utrzymać dla niego nienaruszoną spuściznę ojcowską; wystawiała się na wszelkie trudy, starała się nadto pomnożyć fortuny, aby syn uzyskał pamiątkę jej wytrwałego poświęcenia.

Odrzucała wszelkie propozycje małżeństwa, zachowując przecież stosunki z rodziną, sąsiadami i domami w kraju mającymi znaczenie, aby zachować na przyszłość wstęp sprzyjający dla wychodzącego na świat młodzieńca. Cokolwiek bądź przedsięwzięła, wszystko ściągająca do interesu ukochanego dziecka, tak dalece, że się uważała tylko być administratorką fortuny jemu należącej. Osoba ta, niegdyś bystra i przezorna, umiała czynić wybór z ludzi, zajmujących się tak pierwotnymi naukami, jako i wyższemu usposobieniem jej syna; niemniej szczęśliwą była w doborze przewodnika podróży, którą po ukończeniu edukacji odbywał, zwiedzając niektóre kraje Europy.

Wrócił wykształcony, skromny, uprzejmy, pełen gustu i szlachetnych przymiotów. Matka ucieszona przedstawiła go w świecie, dawała ucztę po ucztach, nie szczęśliwa na jego wystawność, a wdzięczny syn nie nadużywał jej przychylności. Bawiąc wiele w domu, obojętny dotąd na wdzięki najpowabniejszych dziewcząt, oddawał się pożytecznym zatrudnieniom, wprowadzał zastosowane do potrzeb miejscowych zmiany, a wolne chwile poświęcał myślistwu. Obszary pól niezmiernych przebiegając konno, ścięgał za gońcami chartami; z okien wysoko położonego gmachu matka przesyła daleko za synem spojrzenia, śledzi okiem wszystkie ruchy i obroty: znikł po za górą, ale otóż wraca wprost przez pola, czyby mu się jaki ważniejszy przypomniał interes?

— Ale cóż to... to koń sam!... jeźdźca nie ma! O nieba! co żywo, na koń! na koń! kto słyszy! — i sama biegnie i włosy rwie... i tchu nie ma i biegnie... konni wyścignęli ją, ale ona idzie daleko na pola i w górę podchodzi, traci dech a idzie jeszcze... Stała na górze — coż ujrzęła, że pada i mdleje? Za nią wybiegły kobiety zasłużone i przezorne; jedna trzeźwi matkę, inne biegną ku nizinie, gdzie gromadka ludzi posuwa się, niosąc przedmiot głębokiego żalu... wszystkim spływają łzy po licach. Załamały ręce służące, zbliżając się. Otrzeźwiona z młodości ciotka moja rzuca się na zwłoki syna: Dorodny ten przed chwilą młodzieniec przedstawiał martwe ciało, od karku tak oddzielone, że głowa na wszystkie wahały się strony, pokazywała zsiniałą twarz i oczy krwią zawarte — ratunku nie było. To smutne przekonanie w długie omdlenie rzuciło biedną matkę i natychmiast wpadła w chorobę gorączkową, trwającą wiele tygodni.

Familia zajęła się pogrzebem i wystawieniem nagrobka i pomnika w miejscu nieszczęsnej katastrofy; przewidując wolę niepokieszonej, serce w oddzielnej srebrnej złożono puszce i oddano do bliźniego klasztoru; oczekiwało tam jej dyspozycji, skoro ciotka wróci do zdrowia. I wróciła, bo żał mało kiedy zabija. Ale odtąd przywdziewał żalobę na siebie, okrywając ją usłużeniem, ściany i sprzęty swego mieszkania, równie jak i niezamieszkałych, na zawsze zamkniętych pokoi. Pochowawszy w zawarowane skrzyńce bogatą zmarłego wyprawę i swą kosztowną garderobę, przepyszne sprzęty, srebra, klejnoty, kobierce, adamaszki i bielizny, opieczetować kazała herbem familijnym, który gasnąc na ostatnim potomku, natychmiast zniweczony został. Kaplica domowa tym samym uległa zmianom. Odnowiwszy ją czarnymi ozdobami — za pozwoleniem zwierzchności duchownej, złożyła w tem miejscu modlitwie poświęconą puszkę, zawierającą serce synowskie.

Smutna pozostałość z tyłu życia, urody, dobroci, z tyłu przymiotów i wyższości umysłowej! Patrząc codziennie na to serce bijące niegdyś przywiązaniem dzieciannym, zamknięte w twardej oponie szlachetnego kruszcza, odnawiała żal, będący dziś jedyną jej rozkoszą. Tak więc, od lat kilkunastu życie przeznaczone modlitwie, smutkowi i dobroczynności, wlokło się, okryte całunem grobowym.

Cały skład swego usłużenia ciotka zachowała, pod warunkiem, że ludzie ci nie zdejmą nigdy żaloby. Bezczyne prawie życie, jakie wiódł ten tłum służących w tyle osamotnionym domu, przywiązanie niektórych do pani, zniewoliło wielu do przyjęcia takiego obowiązku; ale służący francuzi, przywiezieni niegdyś do osoby mło-

dego pana, oddalili się natychmiast sownie wynagrodzeni; odtąd dziedziniec i drogi Morkowa zarosły trawą. Ogród tylko, ulubiony zmarłemu, utrzymany został w tym stanie, jak podług jego planów zregulowanym był, staranie to rozciągało się aż do roślin i kwiatów, jemu ulubionych, które same tylko ożywiały martwą tę siedzibę i jaśniały w wazonach żalobnej kaplicy. Świat zapomniał o tym smutnym domu; tylko kwestarze, czasem zakonnice, biedny szlachcic, szukający wsparcia, wjechał zasmucony; codziennie zalegali progi jego żebracy, modlący się za duszę zmarłego; napojeni, pożywieni, przyodziani i zaopatrzeni odchodzili, aby wkrótce powrócić

W tem to miejscu ponurem miał doznać gościnności książe Prymas. Bliskość dnia do przejazdu jego oznaczonego, wymagała pośpiechu. Szczęściem miałam tyle przytomności, żem zabrała srebra i inne do przyjęcia potrzebne drobnostki. Ciotki niemożna było nakłonić, aby zmieniła cośkolwiek w zwyczajach przyjętych; za ledwie pozwoliła zamknięte otworzyć pokoje. Pozrzuciłam czarne opony, poruszyłam uspiojących bezczynnością dworaków, a za pomocą sług moich niejaki nadałam pozor temu przybytkowi śmiertelnych pamiętek.

Prymas nadejżda — ciotka wyjść nie chce. Przedstawiam, że duchowne udzieli jej żalowi błogosławieństwo, aby szedł na pożytek duszy utraconego syna. Dwie łzy zabłyśły w oczach bezdzietnej matki, — wzruszona byłam. Pojazd zaturkotał... Biorę ciotkę pod rękę, prowadzę do ganku. Nie mogła znieść rażących kolorów libery i książęcej, ustawionej we dwa rzędy, pomiędzy którymi przechodziłyśmy, a oburzona potwarza idąc: „pokraki, pokraki!“ — to dziwactwo wywołało uśmiech na ustach dworaków — mnie się przykro zrobiło.

Gdy książe prymas wysiadł z powozu, przedstawiłam mu gospodynię domu i siebie samą. Ciotka siedziała milcząca. Zagadałam gością zwykłym sposobem; gdy często spoglądał na panią domu, — krótko, oszczędzając jej uczucia, opowiedziałam nieszczęśliwą jej przygodę i skutki dotąd trwające. Zajął go to opowiadanie. Widoczne było zasmucenie na jego obliczu, ale nie podniósł rozmowy, i owszem, odwrócił ją. Dano do stołu, zasiedliśmy. Po pierwszym danu książe uśmiechnął się i zwracając mowę do mej ciotki, rzekł:

— Uprzejma wice-gospośnia W. Pani Dobr. nie ulega kłopotowi, jakiego nabawiłam panią Pierolińską w Gądkach. Szanowna ta dama, przez wzgląd zapewne na mój stopień duchowny, pragnęła ugościć mnie w swym domu — i żeby mnie uczciła godnie podług jej wyobrażenia, postanowiła, abym jadł nie inaczej jak na srebrze. Dzień był postny: przyniesiono mi piwko ze śmietaną; niosą na stół cukierniczkę srebrną na zamek zamkniętą, sądziłem że w niej cukier do jakiej przyprawy — nie do kawy przynajmniej, bo nakrycie leżało stole. Wchodzi gospodyni zadziwiona że nie jem. Jeszcze nie, — damie odpowiadam pokornie.

— Jasko! — dotyka cukierniczki i gorąca! aż się sparzyła. Chce otworzyć... nie może. Kluczyka szuka... nie masz! Kluczyka! woła... — nie dają.

Roześmiałam się, a nawet ciotka — pierwszy raz zapewne od dawnych czasów.

— Kręci się nieboga po domu, pocieszam ją, że nieglodny jestem; po niejakiem przecież jeszcze szukaniu kluczyk znajduje się. Otwiera: jakże zdziwiony zostałem, widząc piwko w cukierniczce! Zwyciężam wstręt, a dla satysfakcji uprzejmej gospośni, wyjadam zupę z improwizowanej wazy. Niosą ryż okryty grubą warstwą cukru i cynamonu; nie miałem apetytu i dziękuję. Ale Mości książe, bo to ryż! A kiedy tak! nabrałem i zjadłem jeszcze. Bo to damy cudów dokazują, niczego im odmówić niemożna.

— Jeżeli tak, nie cuda tworzyć pragnę, ale łaski WKs. Mei błagać ośmielę się, mówię wstając od stołu i zwracając kroki do przyległego pokoju, idę pomiędzy prymasem a ciotką.

— Czemże mógłbym usłużyć tak godnej damie?

Tu wystawiłam moje smutne położenie, opowiedziałam interes, prosiłam o protekcję. Mocno był zajęty; zanotował sobie krótko w pugilaresie, mówiąc: „miej pani nadzieję.“

Nie płonna była, dotrzymał słowa. Wkrótce uzyskałam formalny rozwód. Jakie czynił zabieg Wysociński? — nie umiem powiedzieć. Dosyć na tem, że mi z fortuny męża przysądzono dobra w sieradzkiem leżące, w których dotąd mieszkałam, ale mnie przestrzeżono zarazem, aby je sprzedać natychmiast, bo się podnosi opór przeciw temu zasądzeniu! Ta okoliczność przyspieszyła moje zamęście. Oddałam rękę sędziemu Wysocińskiemu, sprzedawszy mu majątek, a on mi na nim przyznał dożywocie. Zajął się potem wydobyciem spadku po moim ojcu, gdy prawa moje na osobę jego przelała — a tak, przysposobiwszy mi majątek, stał się jego właścicielem.

Nigdy nie miałam powodu żałować zaufania w nim położonego. Łagodnie skierował moje niedoświadczenie, zniżając powagę swoją częstokroć do dziecinnych drobnostek. I tak, pewnego razu, gdy z sobą nudzić zaczęła, dostrzegłszy, że bezczynność jest tej melancholii powodem, a nie chcąc mi narzucać zbyt ostrej nauki przypomnieniem obowiązku gospodarstwa, rządu i porządku domowego, zapytał mnie, jakie też mam stroje, kwiaty? Przyniesiono pudełka, a znajdując je w nieładzie, zaczął chwalić przedmioty rozmaite, żałując, że niedobrze ułożone — i nuż układać, przestawiać, porządkować. Zabawnie było patrzeć na niezręczność mężką przy tak niestosownem zatrudnieniu. Śmiałam się.

— Ale bo się śmiejesz ze mnie, Marcyśiu; twoje paluszki zręczniejsze, niech się przypatrzę, jak ty z tem się obchodzisz? to się może nauczę.

Zrozumiałam tę delikatną wskazówkę, uściślałam go i poprawiłam się.

XX.

Podróż do starościny.

Wybrano się dwoma pojazdami na nabożeństwo żalobne za duszę Antoniego Kontskiego. W jednym siedzieli szambelanostwo i panny sędzianki; w drugim panna Blemińska, major i dzieci. Trakty nie były jeszcze prostowane, trzeba było ujechać dobre trzy mile drogi; bliskość Gopła wiele miejsc czyniła niedostępniemi. Tam gdzie się rozciągają długie bagna zwane Bachorz, droga tworzyła mnogie zakręty tak nagłe, że dwa idące za sobą powozy naraz wprost siebie skierowane bywały. Za każdym takim zwrotem uważano lekkie ukłony i znaki porozumienia Józzi; a gdy matka zapytała o znaczenie onychże, to zawsze panna Blemińska bywała ich przedmiotem, a ta siedziała spokojnie w drugim pojeździe, tylko major odpowiadał lub wywoływał te znaki telegraficzne. Marynia mniej miała poufałości do cioci.

Ujechawszy pół mili, mijając gotycką figurę murowaną, wystawioną na wzgórkach nade drogą, zapytał szambelan towarzyski swoje, czyli im wiadome znaczenie tych odwiecznych, wielorakimi framużkami opatrzonych słupów? A gdy przyznały niewiadomość swoją, rzekł:

— Są to figury wystawione na pamiętkę, że w tych miejscach odbywało się palenie czarownic; ile framug mieści taki pomnik, tyle biednych, niewinnych ofiar pochłonął płomień na tym wzgórkach. Działo się to nadużycie w dobrej wierze, w przytomności duchownych i świeckiej komisji; protokoły takich egzekucyj jeszcze w aktach grodowych czytać można.

— Dla czegoż nie zniweczą tych pomników, świadczących o niesławie przodków naszych? zawołała oburzona Józia.

— Pomniki — odparł szambelan — są częściami zabytków, stanowiących dowody historyczne. Historyka powinna wiernie przechowywać wielkość i poniżenie, cnoty i błędy; jedne wiodą do naśladowania, drugie są przestroga dla potomności.

Z daleka pokazywał się w tej chwili wysoki pagórek odosobniony na rozległej nad Gopłem równinie.

— Patrzcie, panie moje, — odezwał się znów szambelan — na ten szaniec, datujący od wojen szwedzkich; to miejsce smutnych pamiątek ożywiane było niedawnymi czasy biesiadami, w których nam przewodniczył Bachus w osobie dziezdica tej oto wsi, którą teraz przebywamy. Spojrzyjcie na przesłizane jej nad jeziorem półkoliste położenie i na ten niezgrabny dom o piętrze z wystawą i przystawkami, w którym regularnie i rzadko rozsiane okienka wyglądają jak plamki atramentowe na białym obrusie: to nazywają pałacem.

Tam mieszkał pierwszy elegant i biesiadnik tej okolicy. Na tym kopcu brzmiały wiwaty i płynęło wino w puhary, a zwierciadło tych wód odbijało postacie ożywionych węgryzmem pierwszego rzędu szlachty kujawskiej. Gospodarz ochoczy uwodziciel kobiet wyższej klasy, pierwowzór całej okolicy; nieprzyjaciel stanu małżeńskiego, zwolennik swobód męzkich, był znany i każdemu pamiętny kasztelan Z. Nie kompromitował on się zbliżaniem uprzejmem i ubieganiem do panien, aby nie uchodzić za konkurenta odprawionego, gdyby odstąpił, albo też zmuszonego do ożenienia, gdyby tego już konieczność wymagała. Czepiał się więc mężatek, nie ryzykując nie z mężami, bo ich rozpał. Pod płaszczkiem koleżeństwa wiódł równieniedostrzeżone, jak występne intrygi. Chlubiąc się podbojami nieprzeliczonemi, zachęcał kolegów i znalazł przyjaciółki.

Pani D. znaną była naówczas z niepospolitej piękności, wzorowej edukacji, uprzejmości towarzyskiej i cnót domowych. Przywiązana małżonka, szczęśliwa zarazem, dopełniała tkliwie obowiązków matki; z przyzwoitą godnością prowadziła rząd domowy. Szanowaną była, czerzoną w publiczności. Kiedy pan kasztelan Z., o którym mówię, w zapale cenienia siebie twierdził, że nie masz kobiety, coby się jemu oparła, znalazł kilka głosów sprzeciwiających się jego przechwałce, ujęto się za kobietami, wymieniono na przykład panią D.

— I ta nie ujdzie, jeżeli zechce.

— O, co temu, to nie wierzę, — odpowiedziało kilku mężczyzn.

Pobudzony sprzeczką, wyrzekł straszne „słowo honoru“, na które zarzekł się, że zamiar swój doprowadzi do skutku.

Lat dwa pracował nad uskutecznieniem projektu swego, czynił niesłychane zabiegi, poddawał się rozmaitym próbom, uwziął się, bo słowo honoru wyrzeczone niepodobieństwo nawet zwyciężyć nakazywało i w końcu dokazał tego, że pani D. dla niego rozwiodła się. Dotąd przeprowadzał rolę swoją, ale gdy stanął rozwód, sprosiwszy wiernych towarzyszy, oświadczył, że tu się kończy jego zadanie, — żenić się nie myślał.

— A to z nami wszystkimi, ilu nas tu jest, będziesz miał sprawę honorową! — zawołał jednogłośnie. Jeżeli pani D. uległa, to szatańska intryga, którą osnułeś ją mimowolnie. Jeżeli więc chcesz zachować cię ucziwości i nie pozabawić się szacunku spółbraci, ożenisz się.

— Jest to — odpowiedział — tak wielkie zakłęcie, że mnie zmusza złożyć na ołtarzu przyjaźni i czci publicznej szczęście mojego życia, ukochane swobody i rozkosze.

— Nie żałuj! przyjdzie starość, uciechy odstąpią, zostanie ci cnotliwa przyjaciółka.

— Nie chcę, nie mogę doczekać starości! z pięta, jakie na mnie wkładacie; ale pominawszy to, niech żyje przyjaźń i braterska zgoda!

Uderzono w kielichy i poiliśmy się węgryzmem aż późno w noc. Taka była ostatnia bakchanalia, jaką dzieliłem na tym kopcu, do którego zbliżamy się.

— I ożenił się ten bałamut? — zapytała szambelanowa.

— Ożenił: niezgody domowe, lekceważenie obowiązków stanu, pogarda nieszczęśliwej małżonki, jaką okazywał jawnie, rozchwiały przyjaźń naszą; znalazł jeszcze zwolenników hulanki, ale przyzwoitsi oddalili się.

— A biedna żona?

— Ona podobno nie przestała na upadku cnoty, upadła i na umyśle, i dla zabicia troski do-skwierającej topiła ją w winie, a teraz pono i w mniej szlachetnych napojach. On już nie żyje, a wdowa przyjsć jeszcze może do największej nędzy, bo w stanie nieudolności, jak mówią, opanowana jest przez swego komisarza, człowieka prostego i złego prowadzenia.

Wzruszyła szambelanowa konwulsyjnie ramionami: byłoż to oburzenie? Byłże to zwrot myśli na siebie?... milczała... więc nie wiem. Ale są tacy, co posiadają jej tajemnicę, a co ludzie wiedzą, to i wypowiedzą.

Zbliżyli się do najdawniejszej stolicy, znanej z historyi bajecznej Kruszwy; zamek jej starożytny, dziwnych pamiątek siedlisko, istniał w całym ogromie murów swoich; w jednym znarodników pracowali robotnicy. . nad dziełem jego zniesienia.

— Otóż i ten pomnik, conieuległ potędze czasu, — odezwał się szambelan — sypnie się w gruzy dowolnem zniszczeniem; oszczędność wladców tej krainy zamienia to siedlisko królów na budowę do pomieszczenia stad bydła, gromad owiec i snopów zboża, których im hojnie ta ziemia dostarcza.

— A to przynajmniej równoważy tłumom myszy i szczurów, jakie tam przemieszkiwały, — wtrącała żywo Józja.

— To jest powieść gminna, — odrzekł ojczym — oparta zapewne na rzeczywistości; być może, że nazwisko aktorów tego dramatu historycznego dało powód do takiego zastosowania, albo też utworzono partye pod tą nazwą, jak się to często w historyi spotyka. Ale uważaj, Marcyniu, że materyał tej najwynioślejszej wieży zdaje się być innego rodzaju, aniżeli reszta zamku; gdybyż się też oparła przemocą?

— Czegóż człowiek zbudować, czegóż tem łatwiej zniszczyć nie może, mój mężu?

— Rachuba, będąc podstawą rządów systematycznych, — odparł szambelan — mogłaby stać się zaporą do takiego przedsięwzięcia, jeżeliby się koszta na rozbieranie murów wyższemi nad wartość zdobytego okazały materyału.

Gdy tu się podobne dalej toczyły rozprawy, wcale innego rodzaju prowadzono rozmowę w drugim pojeździe.

— Posunąłeś się, jak widzę, żwawo kuzynie, w zaprzyjaźnieniu z wesołą Józją.

— Ona nie samą celuje wesołością, ma dowcip trafny, objęcie, uczucia...

— O, co do tego, trzeba tylko być młodą, aby je mieć... nadobną, aby je rozbudzić... przyznaj, majorze!

— Nie zaprzeczam twego wniosku, kuzynko; ale co do panny Józefy, muszę nadać większą rozciąglność temu wyrazowi, co go kuzynka do pojedynczego zredukowała znaczenia. Gdybyś słyszała, z jakim uniesieniem wspomina ojca swego, jak tkliwy obraz cnót jego wystawia, jak troskliwie zbiera wszelkie pamiątki jego chwalebne istnienia, którego świadkiem tylko dziecięcym być mogła, nie ważyłabyś tak lekko tego świętego uczucia czci rodzicielskiej, jakie zapowiada czule przywiązaną żonę i matkę. Układając pewnego dnia drobnotki w toalecie zawarte, otworzyła pugilaresik; w nim miała zachowany kawałek papieru, na którym ręką ojca jej przepisana była bajeczka Krasickiego, służąca jej niegdy do wyczenia z pamięci, w drugim zawinięty był krążek siwych z jasnymi zmieszanych włosów. Gdy ucałowała te pamiątki, lzy zaćmiły jej spojrzenie.

Dlaczegoż, mówiła, nie dozwolił mi los wzrosć pod opieką tego uwielbianego ojca? Cnotami swemi, starannością, miłem obejściem uszczęśliwiał wszystko co go otaczało. Pomnę, kiedyś chodzili oglądać zakłady ku porządkowi i uprzyjemnieniu wsi nowo poczynione. Naten-czas było to święto, gromadami ludzie wychodzili naprzeciw nam; cieszyli się razem z państwem owocem swej pracy, bo ona nie była wymuszona na poddanym chłopku. Ciężki był przed-nówek, należało wspierać włóścian, pożyczając im. Mówił ojciec: kiedy się dług odbiera od zniszczonego poprzednim nieurodzajem chłopka, z biedy w biedę wpędzamy go. Darując, zachę-

ca się go do próżniactwa i nieogłędności, ale niech zarabia. Robocizny wystarczały rolnemu gospodarstwu, budowy uskutecznione, jał się więc ojciec uporządkowania wsi, uregulowania ogrodów. Wszystko nabrało miłego pozoru, drogi się naprawiły, powietrze oczyściło wybielaniem, opuszczeniem wód, drzewka wysadzone naówczas, dziś tworzą cieniste chodniki, pamiątkę dobroczynnego pana.

W ich chłodzie spoczywając, wieśniacy opowiadają sobie, jako wielu z pomiędzy nich uwolnionych zostało z poddaństwa, bo przy urodzeniu każdego z dzieci, w imienniny dorocznie uwalniając po dwóch ludzi poddanych, już znaczną część ojciec mój miał wolnych mieszkańców, oni się i tak nie oddalali od dobrego pana, ale ciągle jego doznawali opieki. Ojciec kazał ich uczyć rzemiosła, dopomógł do wyzwolenia i usposabił rękodzielników przywiązanych wdzięcznością do miejsca, dawał im zapomogi w żywności i materyałach, a oni powoli wyrobami odpłacali się.

Kiedy obszedłszy gospodarstwo, powrócił znudzony i rzucił się na chwilowy spoczynek, otoczyła go dzieci gromadka, całując jego śliczne białe rączki, ocierając pot kipiący z czoła, ugładzając jasne włoski, pomiędzy którymi się srebrzyste przebijały promienie, pozwolił nam całować oczki przymrużone, uśmiechnął się do nas łagodnie, a kiedy szczebiocząc przeszkodzi-liśmy drzemaniu, wdał się w nasze rozprawki, ożywił je; w końcu wstawszy, otworzył do biurka gdzie dla nas ukryte miał zapasy łakoci, obdarzył niemi, a każde zbliżenie do tego ojca zapowiadało nam jakową pociechę. Serce mi rośnie, kiedy przyjacielskie, często chlubne usłyszę o nim wspomnienie. Patrzałam na to, jak każdy równy jemu z uszanowaniem do niego zbliżał się, jak ludzie jego z ufnością ku niemu dążyli; — o! nigdy tego nie zapomnę i nigdy nie będę szczęśliwą, jeżeli ten, któremu odważyć się oddać rękę moją, nie urzeczywistni obrazu tego, który jakby święty zabytek przeszłości nieścisnioniej, ukryty spoczywa w tajnikach serca mojego.

Tyle słów panny Józefy.

— Jakżeby rad być kopią tego cudnego pierwowzoru, co go pani tak jasnymi ozywiasz barwami na tle wyobraźni dziecięcej miłości! — odpowiedziałem jej.

— Pan więcej jak ktokolwiek z osób dotąd mi znanych mógłbyś dojsć do jego doskonałości, — wymówiła żywo, nie myśląc zapewne, jak wiele mi powiedziała; ale gdy się spostrzegła, tak żywy na jej lica wystąpił rumieniec, że nawet oczy jej łzami zasły.

— Pani żałujesz wyrzeczonego słowa?

— O, nigdy! a przecież byłabym chciała cofnąć go w głąb mej duszy.

— Tam miejsce zachować... najwyższym być mienię szczęściem, — odpowiedzialem jej, całując rękę, którą mi usunęła.

— Odtąd rozumiemy się.

— I jakż ma być koniec tego wszystkiego, miły kuzynie? — zapytała panna Błemińska.

— Kuzynka dążysz zaraz do rezultatów! Jam zadowolony istniejącym stanem rzeczy. Nie troszcząc się o przyszłość, uważam przychylność Józji, jak kwiat rzucony na drogę mojego życia. Podjąłem go, cieszę się jego świeżym kolorem i złożę święcie zachowany na ołtarzu gościnności, jakiej doznaję w domu moich kuzynów.

— A ona? będzież kochała tak spokojną, umiarkowaną miłością?

— Mnie! A czyż zdolny jestem wzbudzić szalone zapędy? Wierzaj kuzynko, że w tem zaw sze jest wina męzczyzny, wola jego lub własny nieposkromiony zapal, jeżeli młoda, niedoświadczona osoba posunie się dalej, niż jej wskazuje powinność. Aby zostać wierną przyrzeczeniu zrecznie wyludzonemu, opiera się ona często-króć nie tylko słodkiej władzy rodziców, ale nawet własnemu przekonaniu, rzucając się w ręce człowieka, nawet gdy mu już ufać przestała. Ludzi się biedna wtenczas nadzieją, że na przekór losowi zdoła nagiąć swój charakter do usposobienia obranego męża, albo też osiągnąć słodką władzę nad umysłem jego. Omphala, Dejan-

ra, stawają w jej wyobraźni jako postacie, zdolne poprzeć utworzony wniosek.

— Ale i sobie samemu ufa pan major zbyt wiele! To nie jest walka zbrojnych przeciw sobie mężów, ale bój nierównie sroższy, toczone przeciw własnym skłonnościom, namiętnościom może.

— Kto zwalczyć nie zdoła własnych namiętności, nie jest mężem, ale niewolnikiem. Poddać je rozumowi, jest mężstwem; obraz walecznych, jakkolwiek wzniosły, nie wyrównywa wysokiemu stanowisku, jakie zajmuje ciche mężstwo, opierające się, podbijające na koniec pod swą władzę namiętne szaly.

— A więc, kuzynie, stawając na tej wysokości, nie lękasz się zawrotu głowy? — wieszę ci! Cóż przecie, gdyby się uśmiechnęła nadzieja ożenienia? Miałbyś jeszcze jakie wspaniałe namysły?

— Nie pożałowałyby zapewne Józia swego postanowienia — ale to jest myśl daleka odemnie; nie chciałbym się z nią oswoić. To co posiadam; zaufanie, przychylnosc tej młodej osoby, tak mi są drogie i miłe, że się lękam każdego planu zbliżenia, aby nie utracić tego co mi dobrowolnie w posiadanie oddano. Jej matka jest dumna, uprzedzona...

— A gdyby też przez miłość dla męża, którego jesteś krewnym, odstąpiła od widoków swej dumy?

— Dobrze, że dojeżdżamy do miejsca przeznaczenia, bo nie wiem, jak dalekoby kuzynka posunęła jeszcze swoją chęć do swatów... — wyskoczył z powozu i już stał u portyerki karety, podając rękę na wysiadaniu lekkiej i zgrabniej Józii.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z AMERYKI.

New-York, 1 Listopada.

Kwestya wyborów pochłania obecnie uwagę powszechną. Temi dniami odbywa się w całych Stanach Zjednoczonych zapisywanie na listę obywateli wyborców. Po ułożeniu tej listy będą rozpisane wybory do ciał prawodawczych.

Mamy tu dwa główne stronnictwa: republikanów i demokratów. Dotychczas, jak twierdzi dobry znawca tutejszych stosunków p. Chłopecki, Polacy głosowali zazwyczaj na kandydatów demokratycznych, ci jednak okazali się zwykle niewdzięcznymi i spraw polskich w Stanach nie bronili i przyczynili się do tego, że Polaków z wielu wpływowych stanowisk wyrugowano. W obec tego większość Polaków postanowiła zerwać ze stronnictwem demokratycznym, a iść ręką w rękę z republikanami, którzy życzliwie są usposobieni.

Zobaczymy, co z tego wypłynie. Donoszą nam, iż skutkiem zaproszenia ambasadora austriackiego, odprawione zostało uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę cesarzowej Elżbiety w Waszyngtonie, w kościele katedralnym św. Mateusza. Ceremonie żałobne odprawił kardynał Gibbons w asystencyi licznych duchowieństwa. Na nabożeństwo przybył prezydent Stanów Zjednoczonych Mac Kinley, wraz z sekretarzami Gage i Wilsonem, oraz z przedstawicielami władz cywilnych, sądownictwa, wojskowości i marynarki. Prezydenta powitał u wejścia ambasador austriacki Hengemüller, ubrany w uniform żałobny i otoczony wszystkimi członkami poselstwa. Prezydent zajął miejsce honorowe przed katafalkiem, naprzeciwko Mac Kinleya zasiedli reprezentanci różnych mocarstw w pełnych uniformach.

Głębokie wrażenie wywarła przemowa kardynała Gibbonsa, który podniósł szlachetny charakter zamordowanej, jako kobiety, matki i cesarzowej i wykazał ohydę zbrodni. Dalej podniósł potrzebę szanowania władz, a szczególnie

głowy każdego kraju, gdyż są one wyobrazeniem porządku społecznego.

I w innych miastach amerykańskich odbyły się nabożeństwa żałobne za duszę nieszczęśliwej cesarzowej. Nabożeństwo w Chicago odbyło się w obec posłów wszystkich państw. Z Polaków wybitnych byli obecni: Piotr Kiołbassa Alderman i Jan Smulski. Po egzekwiach odegrano marsz żałobny Chopina.

Tragicznego losu doznał chicagoski konsul austriacki M. Proskowetz. Z katedry, gdzie był na nabożeństwie za cesarową, udał się na dworzec kolei i tu wypadł z wagonu restauracyjnego tak nieszczęśliwie, że w kilka godzin później życie zakończył. Pogrzeb konsula był wspaniałym. Trumnę wynieśli do kościoła ziomkowie s. p. Proskowetza, przybrani w austriackie mundury wojskowe, poprzedzeni przez liczne duchowieństwo; za trumną niesiono poduszkę z licznymi orderami, oraz wspaniałe bukiety i wieńce. Całe ciało dyplomatyczne było w komplecie; między innymi hr. Rostworowski, generalny konsul włoski. I znowu marsz żałobny Chopina towarzyszył zwłokom, prowadzonym na wieczny spoczynek.

Zwycięzkie wojska amerykańskie wracają na zimowe leże do swoich miejsc dawnych. Niedawno w Chicago witano marynarzy, powracających z Kuby. Na dworcu kolejowym zebrały się dziesiątki tysięcy publiczności. Wojaków obrzucano kwiatami. Kapitanowi okrętu „Oregon“ pani Belle Pollmacher wręczyła wspaniałą flagę z napisem odpowiednim. Po serdecznym powitaniu, na komendę pułkownika Hawleya wojsko wyciągnęło się w szeregi i z kapelą złożoną z 70 ludzi wyruszyło do koszar.

Ulice na przyjęcie wojska są wszędzie dekorowane wspaniałe, a zapał ludności ogromny. Oklaskami i okrzykami entuzjastycznymi darzą zwycięzców.

W chicagoskim cyklodromie urządono dla nich bankiet, na którym wypowiedziano szereg gorących toastów, — w końcu generał Mac Multa doręczył każdemu marynarzowi honorowe uwolnienie ze służby.

Jakkolwiek w kilku większych miastach amerykańskich Polacy zajmują własne dzielnice i mają swoje urzędnictwa, to jednak nie można tego powiedzieć o wszystkich naszych rodakach; jesteśmy tu rozproszeni i setki mil nieraz dzielą nas od siebie. Pierwszem większym towarzystwem, które poczęło ogniskować Polaków, jest „Zjednoczenie Polaków katolików w Ameryce.“ Powstało ono później, aniżeli inne liczne stowarzyszenia, mające podobne co „Zjednoczenie“ cele, wszelako tego ostatniego zasługą było połączenie rozproszonych żywiolów. W zeszłym miesiącu Polacy w Chicago zamieszkali obchodzili srebrne gody Zjednoczenia. Dzielnica polska w Chicago, zwana Wojciechowo, udekorowana była prześlicznie. Do przepysznej jej udekorowania użyto chorągwi, wieńców i girland ze srebrnych liści.

Zebrań przewodził p. Jachimowicz z Bay City. Obrady trwały dni kilka; poruszono na nich żywotne kwestye ludności polskiej, oraz zjednoczenia wszystkich towarzystw w Ameryce. Po ukończeniu posiedzeń, w teatrze odbyło się uroczyste przedstawienie.

Ch.

Józef Jarosz Rychter.

Tajemnice Zamku Krzyżackiego.

OPOWIEŚĆ NA TLE LEGENDY.

...Wybiła ostatnia godzina pogańskim Prusom. Bogowie tracą moc zbawienną, całe ich państwo zamiera pod gromami bojowników Krzyża i już nie wskrzesić nie zdoła upadającej wiary dzieci ciemności. Prusacy giną... Niosą

oni na ofiarę nieznanemu Bogu krew ciepłą, dymiącą... i nie wiedzą, że z ofiary tej błysnie zorza zbawienia — wiekuista światłość!..

O, gdyby wiedzieli? Czy bronilaby się garstka pogańskich zapaleńców w warownym Kiszporgu?..

Zgorzały wie i moc trupa leży w chatkach i po drogach. Kto żyw, bije pokłon nowemu Panu i śmiertelną trwożę żegna znakiem krzyża. Ranni klą bogów, że ich opuścili i konają w zwątpieniu, a ostatnie ich technienia niosą wichry do pokoju wieczności...

I jasno na niebie i na ziemi, bo na niebie świeci słońce a ziemię pokrywa płaszcz śnieżny, tkany brylantami. Ale tam, gdzie noga ludzka przeszła — znikły brylanty i śnieg błyszczą rubinem.

Krew skalala czystą szatę ziemi.

Słońce już dawno skryło się za górami i ciemne chmury weszły na niebiosa. Cisza objęła panowanie nad ziemią pruską. Tylko czasem płacz dziecięcia na martwych piersiach matki, lub jęk niedobitka, zatrwoży wilka, hyeny lub kruka i przerwie im siestę.

Drogi, pola i lasy ścięte mrozem śpią. Pustki do koła i cisza grobowa...

Duch śmierci zbliża się do Kiszporga. Stado wilków wypadło z lasu i zawyło okropnie. Ślipia ich jak żarzące węgle, zwrócone są w stronę zamku, gdzie od kilku dni wre walka i trzeszczą mury.

Zła to wróżba.

W zamku rozpacz i szaleństwo; głód i wycieńczenie sił a wokoło murów obóz straszny i niezwalczony. Jak upiory snują się w białych płaszczach Krzyżacy i radzą.

Wiatr jęczy w szczelinach zamku, jakby narzekał na los jego obrońców.

— W Imię Ojca i Syna i Duchą świętego! — przeżegnał komtur hufce. Był to znak do boju.

— Amen!.. — odpowiedzieli rycerze i wszyscy stanęli w pogotowiu.

— Bracia! Północ się zbliża, zachwilę gwiazda Betleemska zaświeci nad nami... Zdobyć zamek musimy dziś na chwałę Nowonarodzonego Syna Orędowniczki naszej! — rzekł gromkim głosem komtur — i z tysiąca piersi zagrzmielo: „Gloria in excelsis Deo!“

— Naprzód! — rozległ się głos komendy. W tej chwili jak straszna piorunami ziejąca nawałnica — opadli Krzyżacy nieszczęśliwy Kiszporg.

Wre zajażdła walka. Kipi jak w piekielnej otchłani. Olbrzymie tarany biją w mury a z murów war i kamienie lecą na głowy Krzyżaków.

Kiszporg jak wulkan wyrzuca ogni... Płonące beczki napelnione smołą rzucają łunę na niebo... pękają, toczą się z murów i tratują napastników.

Jęk konających, okrzyki i wycia, zmieszane z łomotem walących się murów, szcęk broni i huk taranów — tworzą straszny wrzawę rozdzierającą niebiosa.

Krzyżacy wdzierają się przez wyłomy do wnętrza twierdzy a tu siekają ich i oni śmiertelne zadają razy, miecz ich chciwy krwi nie szcędzi ludzkiego życia.

Z ostatnią gwiazdą gasnącą na niebie — zgasło życie ostatniego obrońcy Kiszporga.

Cisza zaległa miejsce walki, tylko z wnętrza zamku wydobywa się śpiew zwycięzców:

„Gloria in excelsis Deo!“

Mijały lata i wieki minęły, — wiara chrześcijańska panowała w pruskiej ziemi. Zakon Rycerski Maryi potężniał, chociaż już dawno spełnił swoją misję.

Kiszporg poświęcony i Christburgiem nazwany przemienił się w piękny zamek, baszty pancerne strzegły jego murów, a dwaj rycerze okuci w żelazo wieczną czynili tam straż.

Była to rezydencya komtura Ottona z Sangierwic a zarazem miejsce załogi pięciu tysięcy braci Zakonu.

Do boju zawsze gotowym jest Zakon, ale nie walczy już za wiarę Chrystusa, chociaż znak jej nosi na piersiach. Wojna to hasło mordu i grabieży. Krzyżak ginie za ideę złotego cielca!

Na baszcie pancernej słychać sygnał trąbki. Dwaj jeźdźcy galopem zbliżają się w stronę zamku.

Pięciu krzyżaków wyszło na ich spotkanie. Owi jeźdźcy, byli to posłowie Wielkiego Mistrza. Zsiadłszy z koni kazali się prowadzić do komtura Ottona.

Komtur z radą dwunastu przyjął ich w sali tronowej.

Snać nie dobre przywieźli Bracia nowiny, bo komtur marszczy brwi czytając list Wielkiego Mistrza. Po chwili skinął ręką i głosem spokojnym rzekł:

— Wielki Mistrz Ulryk prosi nas o braterską radę, a żali mamy na nowo podjąć wojnę z Królem polskim. Kto zatem jest za wojną, niechaj to oznajmi...

I dwunastu rycerzy dobyło mieczy.

Komtur Otton z Sangierwic stał spokojnie. On jeden miecza nie dobył.

Wzrokiem osłupiałym powiedli po sobie zgromadzeni rycerze.

— Jakież zdanie Waszej Miłości? — spytał starszy brat Erwin.

— Ja wojny z Jagiełłą odradzam starowczo! — rzekł komtur. Wszak otrzymaliśmy Żmudź całą a za ziemię Dobrzyńską płacą nam złotem. Czogoż więcej mamy żądać od narodu chrześcijańskiego? Wszak praw do Litwy i ziem ruskich zrzekliśmy się dobrowolnie a święte słowo Zakonu pokój Polsce zapewniło. Czy chcecie dane słowo przełamać bez powodu? Jeśli tak — to cóż na to powie świat cały? Hańba Zakonowi Maryi, gdy zechce znowu walczyć z niewinnym narodem chrześcijańskim! Na karki pogan są przeznaczone miecze naszeli! Tam nasza chwała i cześć pokoleń! Nie radzę iść na Jagiełłę... a jeśli pójdziemy kara boża spadnie na Zakon...

Po tych słowach komtura, dwóch rycerzy schowało miecze do pochew. Ale Erwin i reszta braci ma ochotę do wojny. Nęci ich Litwa, nęci, ci Ruś i pragną zdobyć „złote runo“ teraz lub nigdy.

— Wielki Mistrz czeka na odpowiedź Waszej Miłości... Większość oświadczyła się za wojną... — rzekł krótko brat Erwin.

— Przysięgam wam... gdzie wy pójdziecie tam i ja pójdę; ale ostrzegam że zginiemy, żaden z was nie ujrzy już tego zamku, chyba dusza tu powróciemy na wieczną pokutę, za bunt przeciw słobom Zakonu! bo wojna z Jagiełłą to bunt przeciw sprawiedliwości, bunt przeciw Bogu!

I odeszli posłowie Wielkiego Mistrza z trwogą w sercu — bo komtur mówił uroczyście, jakby miał prorocze widzenie.

W dali za górami, za lasami, na ciemnym tle nieba ognisty słup widać.

Lud po wsiaach gromadzi się i prawi o przyszłych nieszczęściach kraju... Trwoga przejmuje wszystkich, bo słup ognisty zapowiada straszną wojnę.

Mieszkańcy okolic Christburga patrzą na zamek wstrzymując oddech w piersiach.

— Rychło rycerstwo w pole wyruszy?... — wszyscy pytają.

Trzeciego wieczora słup ognisty dogorywał na niebie a niebo było czarne.

Z Christburga wychodziły tłumy rycerstwa

a pochód ich niby z mora wystraszył całą okolicę.

Nigdzie nie widać żywej duszy. Zwierz skrył się do nory, żaden ptak nie przeleciał ponad głowami jadących, chaty zdawały się tulić jedne do drugich... Cała przyroda jakby skamieniała.

Na straszny bój jada rycerze... Wielki Mistrz zewsząd gromadzi siły a cesarz Zygmunt mówi mu: jedź i bij! a gdy zwyciężysz olbrzymie państwa Jagiellonów — będziesz panem całej Europy!..

I poszły zastępy Krzyżaków bić się pod Grunwald...

Lud wierzący w Boga i miłujący swoją ziemię został w domu i szepce:

— Oj! lepiej było nam siedzieć doma i chwalić Boga za dary własnej ziemi, wstające słońko witać ranną modlitwą, bo ono wszędy jednako grzeje... Lepiej wam było zostać z nami i uczyć nas słowa bożego — jako przystało rycerzom Maryi... Bóg was powołał byście krzewili Jego wiarę świętą — jako nasi ojcowie czynili a wy mieczem i ogniem nie dla chwały Bożej, jeno dla grabieży wojujecie.

— Hańba wam!..

Już słońce dwóchsetne zatoczyło koło a w Christburgu pusto, głucho i straszno...

Z pod Grunwaldu i Tannenbergu już dawno wrócili Krzyżacy — ale nikt wracających nie widział. A jednak są oni w zamku.

Gdy słońce zajdzie i zmrok pokryje ziemię, wtedy słychać głuche ich śpiewy, ciężkie stapania i szczęk broni.

Nie jeden wieśniak przechodząc w nocy koło zamku słyszał to wszystko a nawet słyszano tam hałas, wiwaty, jakiś śmiech dziki, piekielny... Często w oknach zamku pokazują się cienie a gdy księżyc świeci — stoją przed bramą dwaj rycerze w pełnej zbroi i nikną gdy kur zapieje...

Przepowiednia komtura Ottona z Sangierwic spełniła się. W Christburgu pokutują dusze Krzyżaków.

I z trwogą spogląda lud okoliczny na stare zameczysko i mija go każdy przechodzień, żegnając się krzyżem świętym.

Wraca z Rzymu stary Miron, co Bogu ślubował pielgrzymkę. Dwa lata był w drodze, dwa lata nie miał wieści o rodzinnym kraju. Słyszał wprawdzie, że bracia Krzyżacy poszli na wielką wojnę, ale kiedy i gdzie się bili — o tem nie wiedział. Idzie więc spokojny i z pagórka przy wschodzącym słońcu widzi budzącą się wioskę — widzi domek, w którym zostawił rodzinę, i serce pielgrzymowi żywiej w piersiach zabiło...

Stary Miron czuł się o dziesięć lat młodszym i rażno ku wsi podążył.

Wita go syn i synowa, dziatwa obstaąpiła dziadunia w około, a on daje każdemu szkaplerzyk i święte obrazki.

I radował się starzec, a potem był smutny, bo już żony w domu nie zastał. Umarła nieboga... Ha, nie ma już przed kim wynurzyć się stary Miron nie ma komu zwierzyć swoich myśli. Ale jest jeden dobry jego przyjaciel, który mu dzieci do chrztu trzymał i mile z nim gwarzył wieczorami. Mieszka on w zamku i jest wielkim panem.

Pyta więc Miron o zdrowie brata komtura, bo komtur był jego kumem.

— Zginął w wojnie — odpowiada mu syn a wnuczeta z trwogą wskazują na zamek i prawią o duchach, które tam pokutują.

Miron słucha ale nie wierzy, chociaż starsi wieści owe potwierdzają.

Pójdę do brata komtura — rzekł Miron i poszedł.

Idzie przez pola i łąki, odpoczywa po drodze, znów idzie... Minął już gaj zielony a za gajem wąwóz długi prowadzi do zamku. Miron szedł zwolna, jednak się zmęczył, więc stanął i patrzy.

Wieczór był jasny, majowy; obłoki chwilami odsłaniały księżyc a wtedy zamek oblatany niebieskawym światłem wyglądał wspaniale. W duży Mirona błogi panował spokój; przypomniał sobie szczęśliwe chwile spędzone w tym zamku na gawędach z komturem: o minionych czasach, o przyszłych losach kraju i o wielu, wielu rzeczach, tyczących się ziemi ojczystej, której dzieje znał dobrze z ksiąg i z życia.

Odpocząwszy, ruszył dalej w drogę, minął wąwóz i już zbliżał się ku bramie zamku, gdy na kilkanaście kroków od siebie ujrzał stojącą tuż obok bramy nieruchomą postać rycerza.

Był to właśnie komtur Otton z Sangierwic. Wśród jasnej, księżycowej nocy poznał go Miron po wyniosłej postawie i po wieloletnim krzyżu iskrzącym na jego piersi.

— O! Miłościwy Panie i kumie najdroższy! cieszy mnie że was w dobrem i czerstwym zdrowiu oglądam, co też tam się dzieje w waszym zamku, bo w okolicy dziwne o nim ludzie opowiadają...

Na te słowa Mirona komtur boleśnie wykrzywił twarz i rzekł:

— Chodź ze mną a obaczysz...

Zegar wieżowy wydzwonił dziewiątą.

Komtur z Mironem weszli na podwórzec zamkowy a za nimi brama zapadła na wrzeciadcze.

Noc była jasna. W zamku panował ruch niezwykły. Pod arkadami przesuwaly się białe i czarne postacie i wiodły między sobą jakieś tajemnicze rozmowy.

Na organach w kościele grano i wszystkie okna były oświetlone.

Mirona zdziwiło to niezmiernie, gdyż nieraz bywał w zamku, ale nigdy o tej porze czegos podobnego nie zauważył.

Przypomniał sobie o ludzkiej mówni o zamku, mimowoli strach go ogarnął i nieufność zaplanowała w jego sercu. Spoglądał to na oświetlone galerie, to na kościół i na komtura, który milczał i szedł prosto, patrząc przed siebie, jakby na Mirona wcale nie zważał.

Weszli do kościoła.

Na prawo i na lewo w nawach stali Krzyżacy w zbroi — pochyleni w stronę wielkiego ołtarza. Przy ołtarzu stał kapłan, zwrócony twarzą do zgromadzonych i zdawał się im błogosławić... Ale koścista jego ręka, złożona do błogosławieństwa, zawisała w powietrzu nieruchomo i cała postać była sztywna, jakby do stopni ołtarza była przysrubowana. Twarz jego trupio-błada, oczy i policzki zapadłe, czyniły go podobnym raczej do kościotrupa niż do człowieka żywego. I pochyleni Krzyżacy stali spokojnie, nieruchomo jakby skamieniali. Pióra na ich hełmach ani drgnęły...

Miron patrzył na to straszne nabożeństwo i trwożnie zapytał komtura:

— Co to znaczy ta nieruchoma ceremonia?

— To wiara nasza! Już znaku krzyża nie zrobi spróchniała ręka kapłana i nie podniosą oblicza rycerze Maryi na jasny obraz Jej Syna... Prochy nasze pokutują — chodźmy ztąd — rzekł komtur.

Miron przeżegnał się i wyszedł...

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 8-my powieści, p. t. *Dla sztuki*, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S.

Treść: Grzechy wychowawcze. Studya z natury, przez Janinę S. Aleksotę. — Kobieta w poezjach Lenartowicza, przez Stanisława Ostrowskiego (dokończenie). — Za progiem raj. Cykl piosnek, przez Szczęsną. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Z Ameryki. — Józef Jarosz Rychter. Tajemnice Zamku Krzyżackiego. Opowieść na tle legendy. **Dodatek obejmuje:** *Dla sztuki*, powieść, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S. arkuś 8-my. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót. z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.